

Marta Kwaśnicka: *Daemonium meridianum*

Acedia to czasami ośpienie, czasami smutek, a czasami – zwykły duchowy zamęt



Prezentujemy fragment eseju Marty Kwaśnickiej "*Daemonium meridianum*", wchodzącego w skład wydanego przez Teologię Polityczną zbioru "Krew z mlekiem".

1

Demon południa (*daemonium meridianum*) nacierał na mnichów w porze największego upału, gdy przeminął już pierwszy zapal do pracy i kontynuowanie jej oznaczało duży wysiłek woli. Wówczas pojawiała się

acedia, lenistwo, stan, w którym ospałość przegrzanego ciała pociąga za sobą duchowe otępienie i smutek.

Acedia (albo akedia) to jednak bynajmniej nie bezmyślne próżnowanie, przed którym od dziecka przestrzegają nas rodzice. Jeśli przetłumaczyć to słowo, okaże się, że oznacza ono brak troski o własny byt i istnienie, egzystencjalną obojętność. To osłabienie sił duchowych, omdlenie duszy.

U Herlinga demon południa uderzał najsilniej podczas Ferragosto, kiedy 15 sierpnia, w szczycie lata, granica pomiędzy życiem i samobójczą śmiercią topniała do wąskiej strużki. Stawała się jak przezroczysta żyłka, na której można było się powiesić w poczuciu osamotnienia i z gorąca, znoszonego cierpliwie od ponad dwóch miesięcy, w końcu stającego się czymś ponad siły. Jednak to były Włochy (Rzym) latem, gdzie dzień i noc nie dają wytchnienia, są tylko inną, ciemniejszą odmianą upału, gdzie powaga wiecznych budynków zmusza do decyzji ostatecznych i uroczystych. Nie pomaga zejście do metra. Z czarnych tuneli wionie gorący powiew, jakby pod samym nosem Watykanu otwały się wrota piekielne. Dnia następnego, jeśli się przeżyło – przekonuje narrator z Neapolu – można jedynie liczyć obituaria.

Na Zakrzówku acedię powoduje demon o rysach całkowicie powszednich. Słowianie znają go zresztą od dawna i nazywają Południcą. Jest jakby rozcieńczony. Naciera już przed południem. Kiedy nadchodzi, powietrze staje nieruchomo, a świerszcze krzyczą ostrzegawczo. Nie porusza się ani jeden liść. Wtedy, jak pisze Ewagriusz, „czarny kruk nocny otacza duszę mrokiem”[1].

Nasz dom początkowo się broni. W pierwszych dniach upałów panuje tu nadal świeży chłód. Potem jednak zaczynamy przegrywać. Kiedy nadchodzi właściwy demon południa, powietrze staje się podobne do ciepłej piany. Zatyka nos, zakleja usta, tamuje ruchy. Nie można ani się poruszać, ani myśleć. Nie da się uciec, bo na zewnątrz jest jeszcze gorzej.

– Wyjedźmy gdzieś. Gdziekolwiek – mówię do T. każdego popołudnia. Po raz kolejny nie przeczytałam tego, co miałam do przeczytania, i nie napisałam, co miałam do napisania. Wszystkie blaty w domu są zasłane grzbietami otwartych i porzuconych książek. Nie mam siły ani ochoty odkładać ich na miejsce. Przecież zaraz do nich wrócę. – Może Skandynawia – proponuję. Krótki lot, a potem nagle dwadzieścia stopni i chłodne polodowcowe jeziora. Można odpoczywać w kojącym cieniu północnych sosen i oglądać kamienie runiczne. Na samą myśl o północnych wiatrach odczuwam ulgę. Nie słychać tam tych męczących świerszczy. Tylko igliwie chrzęści pod stopami. – Patrz, sąsiad przyjechał. Dlaczego właściwie zawsze parkuje pod naszym oknem?

Acedia jest osłabieniem duszy,
A osłabienie duszy nie ma w sobie nic zgodnego z naturą
[...]
Duch acedii wypędza mnicha z jego celi,
[...]
Wzrok uległego acedii tkwi ciągle w oknie,
A jego umysł wyobraża sobie odwiedzających.
Zaskrzypiały drzwi – ów wyskoczył,
Usłyszał głos – wychylił się przez okno
I nie odejdzie stąd, aż siedząc, zdrętwieje.

Opanowany przez acedię przy czytaniu wciąż ziewa
I łatwo wpada w senność.
Pociera oczy i przeciąga się,
To znów odwracając oczy od książki, spogląda na ścianę,
Znowu obraca się i czyta nieco,
I kartkując – bada dokładnie końcówki wypowiedzi.
Liczy kartki i ustala liczbę rozdziałów,
Gani pismo i zdobienie.
Wreszcie zamyka książkę, kładzie pod głowę
I wpada w sen niezbyt głęboki,
Ponieważ głód w końcu budzi jego duszę i ulega ona swoim własnym
troskom[2].

*

Brak troski o własny byt i istnienie, egzystencjalna obojętność. Krakowska acedia bywa równie śmiertelna jak rzymska, lecz zabija przewrotnie. Zbiera żniwo przez cały okres upałów. Zakrzówek to zalany kamieniołom, niewyobrażalnie piękny, zwłaszcza jeśli mieszka się w betonowym świecie krakowskich osiedli mieszkaniowych. Woda na tle białych skał jest koloru południowego lazuru, a wokół piętrzą się urwiska z widokiem na Wawel. Zalew jest teoretycznie zamknięty dla krakowian. Toń Zakrzówka jest jednak tak przejrzysta, tak chłodna i tak błękitna, że kiedy nad miastem wytrzeszcza się oko upału, od wejścia w nią po prostu nie można się powstrzymać. Mieszkańcy miasta zbiegają się zatem nad zatopiony kamieniołom jak zaczarowani, całymi setkami, procesjami, tak jak wypływa ich z siebie każdy kolejny tramwaj. Najpierw, w maju, jedynie patrzą na zalew z wysokiego urwiska, potem, od czerwca, coraz liczniej schodzą na dół, przeciskając się przez dziury wycinane w ogrodzeniu. W lipcu brzegi zalewu mieniają się już dzikimi

kąpieliskami, nawet tam, gdzie teoretycznie zejść w ogóle się nie da, gdzie jedyną drogą na górę jest pnąca się pionowo kreska wąskiego żlebu.

Pierwszy poziom dna jest kilka metrów pod powierzchnią wody, potem ściany znów opadają pionowo do kilkunastu metrów. W najgłębszym miejscu – aż do trzydziestu. Jeśli wierzyć nurkom, dno spowija mgła toksycznego mułu, pozostałość po umarłych roślinach, które kiedyś rosły w kamieniołomie (w czasie wojny pracował tam bł. Jan Paweł II, wówczas Karol Wojtyła; pod wodą jest, oczywiście, pamiątkowa tablica).

I z zadziwiającą regularnością ktoś spada w te trujące ciemności. Zaczyna się tak samo – śmiech dziewcząt, popisy młodzieńców, którzy skaczą ze skał jak jacyś poławiacze pereł, piski, dmuchane materace nad wielką głębią, piwo na urwisku. Każdego lata z Zakrzówka wywożą ciała topielców. Latem niemal co tydzień przejeżdża tędy żałobny kondukt straży pożarnej, wiozący nad zalew łodzie ratunkowe. Czasem trudno rozeznać, czy ktoś rzucił się w lazur świadomie czy tylko pośliznął. Ostatecznie wapień bywa zdradliwy, zwłaszcza gdy jest wilgotny. Niektóre ciała pojawiają się przy brzegu zupełnie niespodziewanie, są bezpańskie. Nadmiarowe ciało, którego nikt nie szuka – to dopiero kłopot dla policji. Zdarza się, że ktoś, kto zaginął już dawno i zupełnie gdzie indziej, odnajduje się nagle w wodach Zakrzówka.

Na acedię święta Synkletyka zalecała modlitwę i śpiewanie psalmów. Podobnie Ewagriusz:

Opanowany przez acedię mnich jest nieskory do modlitwy
I nie wypowie nigdy jej słów.
Jak bowiem chory nie dźwiga wielkich ciężarów,
Tak i uległy acedii nie będzie spełniał gorliwie Bożego dzieła.
Pierwszy bowiem utracił siłę fizyczną,
Drugi zaś jest pozbawiony mocy duszy.
Acedię leczy wytrwałość
I czynienie wszystkiego z wielkim staraniem i bojaźnią Bożą.
Wyznacz sobie miarę w każdym dziele
I wcześniej nie odstępуй, póki jej nie wypełnisz.
I módl się uważnie i żarliwie,
A duch acedii ucieknie od ciebie[3].

2.

Acedia to umiłowanie sposobu bycia demonów. Osłabiona dusza jest smutna – jak pisze Dante – zatrzuwa słodkie powietrze wyziewem wiecznego niezadowolenia. Tacy znajdą na końcu swoje miejsce wśród tego, co umiłowali: w piątym kręgu piekieł.

Ci w mule tkwiący mówią: – Żli, ponurzy
w jasnej pogodzie, co się cieszy słońcem,
mgłę w sobie nieśliśmy, co wszystko chmurzy
(Fitti nel limo, dicon: Triste fummo
ne l'aere dolce che dal sol s'allegra,
portando dentro accidioso fummo)[4]

*

W katedrze w Liège ambona wspiera się na marmurowej sylwetce płaczącego szatana. Miasto, bardziej znane pod łacińską nazwą Leodium, powstało już u progu średniowiecza, w VI wieku, a od VIII wieku stało się stolicą starożytnego biskupstwa, obejmującego okazjonalnie także Akwizgran i Maastricht. Jeszcze w I tysiącleciu okazało swój polityczny potencjał. Najpierw działali tu św. Lambert i św. Hubert, zapalony myśliwy z królewskiego rodu Merowingów, „apostoł Ardenów” (to on przeniósł do Leodium siedzibę biskupią). Potem w okolicy (dzisiaj będącej częścią miasta) urodzili się Pepin Krótki i – zapewne – sam Karol Wielki. Od 972 roku decyzją Ottona II diecezja Leodium tworzyła samodzielne księstwo biskupie i pozostała nim aż do 1794 roku, kiedy w mieście zapanowały rewolucyjne porządki (Liège przeżyło swoją własną, małą wersję rewolucji francuskiej, która toczyła się równolegle do tej prawdziwej i – po kilku próbach utworzenia niewielkiej republiki – zakończyła się chwilowym przyłączeniem księstwa do Francji). Od XI do XIII wieku na całą Europę słynęły tutejsze szkoły i kolegiaty, w dolinie Mozy kwitła zaś wspaniała sztuka mozańska. Benedyktyni z Tyńca przybyli w nasze okolice właśnie z leodiańskiego opactwa św. Jakuba Mniejszego.

Dzisiejsza siedziba biskupstwa nie jest oryginalną katedrą św. Lamberta. Świątynia, której wspaniałość słynęła na całym Zachodzie, została zburzona w czasie rewolucji. Pozostały po niej fundamenty i nazwa placu przy dawnym pałacu biskupów, w którym dzisiaj znajduje się siedziba sądu. Od XIX wieku funkcję katedry w Liège pełni dawna kolegiata św. Pawła. Zbudowano ją już w X wieku, ale – jak w przypadku większości tutejszych budynków – nie widać po niej prastarej

proweniencji. Przebudowywano ją wielokrotnie, do dzisiaj dochowała się jako potężny gotycki gmach bez charakteru, w dodatku z XIX-wiecznym wyposażeniem, którym młoda Belgia chciała uświetnić katedrę w jednym ze swoich największych ośrodków. Poza tym trzeba było jakoś zastąpić *gloire de l'Occident* (chwałę Zachodu) – kościół św. Lamberta.

Rzeźba smutnego Lucyfera ma w sobie sporo ówczesnego sentymentalizmu. Posąg jest klasycznie piękny. Szatan ma gładkie ciało greckiego zapaśnika. Po jego smutnym obliczu spływa łza. – Poruszająca jest ta rzeźba – zwykł mawiać K., znajomy profesor, Polak, który chadzał z nami w niedziele do kościoła. Co tydzień, stając przed jasnym młodzieńcem, wzdychał głęboko i popadał w zadumę. Polska inteligencja do dzisiaj zachowała XIX-wieczną wrażliwość, z którą się narodziła. Nadal jest czułościowa i interesują ją głównie problemy rodem z okresu jej młodości: mesjanizm, smutny Lucyfer, z szlachtą polską polski lud. K. również wzruszał się własnym wzruszeniem. – Ten diabeł jest piękny. Myślę, że taki musi być naprawdę. Przecież to anioł.

Czytając po latach o posągu z katedry św. Pawła, dowiedziałam się, że to tak zwany *Le Génie du Mal* lub *Lucyfer z Liège*. Został wyrzeźbiony przez belgijskiego artystę Guillaume'a Geefsa i ustawiony na dzisiejszym miejscu w 1848 roku. Kilka lat wcześniej w katedrze pojawiła się analogiczna rzeźba dłuta brata Guillaume'a – Josepha, bardziej chłopięca. Została jednak usunięta przez biskupa Corneliusa Richarda van Bommela z powodu jej niezdrowego piękna (*beauté malsaine*), które sprzeciwiało się chrześcijańskiej nauce na temat szatana. Uskrzydłony, nagi chłopiec był zresztą tak wyzywający, że nie mógł stać w kościele. Dzieło Josepha pojawiło się potem na kilku wystawach, gdzie oceniano je różnie. Niejednoznaczność dla wielu

bywa zachwycająca. To „uskrzydłony Adonis”, pisano. Inni zauważali, że Lucyfer jest „łagodny i słabowity” albo że „brakuje mu diabelskiego żądła”. Posąg szybko zaczął jednak święcić triumfy na salonach najwyższej europejskiej socjety. Kopie zamówili król Holandii Wilhelm II i księżę Weimaru Karol Fryderyk, a gipsowy projekt dostał baron Bernhard August von Lindenau. *Beauté malsaine* było wtedy w cenie.

Wiek XIX w ogóle miał słabość do Szatana. Wierzono, że władca piekieł potrafi kochać i może ostatecznie zostać zbawiony. Tej nadziei uczepili się zwłaszcza frankofoni. W 1824 roku Alfred de Vigny, ten sam, który ukuł określenie *poètes maudits*[5], opublikował poemat filozoficzny *Eloa albo siostra aniołów* (*Éloa, ou La sœur des anges*). To opowieść o niewinnej kobiecie – aniele, zrodzonej z łzy Chrystusa. Kiedy Eloa dowiaduje się o wypędzeniu najwspanialszego z aniołów, postanawia mu towarzyszyć i pojednać go z Bogiem. Spotyka Lucyfera na granicy niebios i piekieł i zakochuje się bez pamięci w jego mrocznym pięknie (de Vigny opisuje szatana jako „un ange assis, jeune, triste et charmant” – siedzącego anioła, młodego, smutnego i czarującego; tak opisałabym również rzeźbę z Liège). Eloa wprawdzie będzie wolała iść za Lucyferem do piekła niż wrócić do nieba bez niego, ale triumf Złego jest niejednoznaczny. Pod wpływem Eloi serce szatana na chwilę zapomina o zbrodni, a on sam zaczyna żałować, że nie potrafi płakać: „Il répétait tout bas, et le front dans ses mains: / «Si je vous connaissais, ô larmes des humains!»” („Powtarzał cicho, kryjąc twarz w dłoniach: «Gdybym was znał, o, człowiecze łzy»”). Podobno Guillaume Gees znał tę historię. Nie wątpię, że tak jak de Vigny, który chciał napisać kontynuację *Eloi*, rzeźbiarz miał nadzieję na powrót pary zakochanych w rejony zbawienia – jego Lucyfer przecież płacze.

Posąg pięknego szatana stanął zatem ostatecznie także w katedrze w Liège. Biskup van Bommel się ugiął, a Guillaume starał się poprawić to, co nie podobało się w dziele jego brata. Lucyfer Guillaume'a jest bardziej męski, ma umięśniony tors i wyraźnie zarysowane golenie. O piekielnej proweniencji informują tylko szczegóły: niepokojąco zaostrome paznokcie i niewielkie rogi, ukryte w lokach. Rogi te zresztą przywodzą na myśl skojarzenie z rzymskim Mojżeszem, są zatem niejednoznaczne i mogą być oznaką wybraństwa. Lucyfer z Liège nadal jest piękny, ma w sobie coś prometejskiego, a jego smutek okazuje się zagadkowy i pociągający.

*

Kiedyś podczas popołudniowej drzemki – nie mam takiej w zwyczaju, ale w Liège czasami sen morzył mnie w ciągu dnia nad książkami – zobaczyłam, że w powietrzu unosiła się ptasio-rybia hybryda: zielona, uskrzydłona pirania o ostrych, trójkątnych zębach. Doskakiwała do mnie i kąsała ze wszystkich stron. Machałam rękami, jakbym opędzała się od osy, ale ona była zbyt szybka. Każde ugryzienie piekło dotkliwie. Na moim ciele nie było jednak żadnego śladu, chociaż szukałam potem usilnie. Żadnych zadrapań czy choćby punktów nabiegłych krwią. Nie jestem w stanie zrozumieć, skąd tu, w samo południe, wzięła się ta poczwara – pomyślałam sobie. Całe szczęście, pirania to był tylko sen.

Postanowiliśmy z T. kupić krucyfiks. Wieczorami czuliśmy się dość nieswojo w wynajętej kawalerce o pustych, białych ścianach, wysokich oknach i czarnym, zamurowanym kominku. Mnie dopadała dziwna melancholia. Można byłoby to zrzucić na jesienną aurę, kiedy północne

niebo niemal bez przerwy jest sine, a bulwary nad Mozą pokrywa dywan wilgotnych liści. Smutek przychodził jednak tylko w mieszkaniu. Kamienica przy rue de Gueldre była bardzo stara, pamiętała pewnie czasy sprzed rewolucji. Drewniana klatka schodowa przypominała wnętrze starej wieży. Ilekroć wchodziliśmy na piętro, płoszyliśmy gołębie. Samą kawalerkę niedawno odnowiono. Byliśmy na razie jedynymi mieszkańcami budynku. Pozostałe kwatery wciąż czekały na najemców. Mieszkania pewnie nikt nie poświęcił, a właścicielka zdziwiłaby się pewnie, gdyby ją o to spytać. Tymczasem katedra św. Pawła z jej smutnym Lucyferem znajdowała się tuż za rogiem, o rzut kamieniem był także plac po katedrze św. Lamberta.

Krzyż kupiliśmy następnego ranka na targu staroci na Outremeuse, wyspie na Mozie. Nigdy w życiu nie widziałam tylu dewocjonaliów w jednym miejscu. Krzyże i mszały za kilka euro, brewiarze za kilka eurocentów, stare, szerniałe różańce. Jakby ktoś otworzył arsenał pełen zardzewiałej broni. Kupujących bardziej interesowały znaczki i szpady. Jeśli chodzi o krucyfiks, byliśmy jedynymi zainteresowanymi. Ten, który kupiliśmy, nie był szczególnie piękny, w zasadzie efektownie prezentował się tylko z daleka. Z bliska od razu było widać, że kamienie szlachetne to w rzeczywistości szkiełka, a z ciężkiego metalu wykonano jedynie podstawę. Na droższy nie mogliśmy sobie jednak pozwolić. Byliśmy biednymi studentami ze Wschodu na głodowym stypendium. Jeśli chodzi o wartość estetyczną, krzyż sromotnie przegrywał ze smutnym szatanem z katedry. Jednak od kiedy srebrnawa sylwetka krucyfiksu błyszczała na kominku, sen się nie powtórzył, a napady melancholii ustały.

*

Pamiętajmy, że w przestrzeni między niebem a ziemią krąży niespokojnie i bez chwili wytchnienia ogromna ilość złych duchów. Jest ich tak wiele, że Opatrzność Boża wyświadczyła nam wielkie dobrodziejstwo, gdy to mrowie usunęła sprzed naszych oczu. Widząc ich straszliwe ataki i okropne postaci, które potrafią dowolnie zmieniać, ludzie mogliby się przerazić śmiertelną trwogą – nauczał na początku V wieku abba Serenus[6].

Całe szczęście, Bóg czasami pozwala przez chwilę zobaczyć demona w całej szpetocie. W XVI wieku Teresa Sánchez de Cepeda y Ahumada wpadła w sidła demona południa. Smutna, wysiadywała przy oknie, patrzyła tęsknym wzrokiem w wypalony kastylijski horyzont, zaniedbała modlitwy. W iberyjskich klasztorach klauzury nie przestrzegano wówczas zbyt surowo, dopiero Teresa to zmieni, kiedy stanie się reformatorką Karmelu, świętą Teresą od Jezusa. Na razie na porządku dziennym było przyjmowanie gości i utrzymywanie przyjaźni z osobami spoza zakonu. „Zaczęłam wchodzić w te kontakty towarzyskie, nie wydawało mi się – gdyż widziałam, że były one w zwyczaju – aby miało to przynieść mojej duszy jakąś szkodę”[7] – notowała. W duszy Teresy zapanował bałagan. Acedia to czasami ośpienie, czasami smutek, a czasami – zwykły duchowy zamęt. Tak było w przypadku przyszłej reformatorki Karmelu. Zaprzyjaźniła się ona ze świecką osobą, sama mówi nawet o emocjonalnym uzależnieniu. Całe szczęście, miała szansę zobaczyć, jak szpetne jest to, czemu ulega. „Gdy innym razem byłam z tą samą osobą, zauważyliśmy – jak również widziały to inne osoby, które tam były – zbliżające się do nas coś na kształt wielkiej ropuchy, jednak z dużo większą zwinnością niż zwykły się poruszać” – opisała. „Nie jestem w stanie zrozumieć, skąd tam, w samo południe, wzięła się ta poczwara” – „No puedo yo entender pudiese haber semejante sabandija en Mitas del dia”[8]. Tysiąc lat

wcześniej coś podobnego przydarzyło się św. Benedyktowi. W chwili duchowego rozprężenia podczas modlitwy w Subiaco ojca zachodniego monastycyzmu wściekle zaatakował kos. Święty salwował się wówczas ucieczką w pokrzywy.

Mnich powinien być czujny i nie przedkładać niczego ponad modlitwę, zwłaszcza jeśli wybrał drogę klauzury. „Reakcja, jaką to [widzenie] we mnie wywołało, była – jak mi się wydaje – przejawem tajemniczego zamysłu Boga” – napisała Teresa. „I tego również nigdy nie zapomnę”. Brzydota demona sprawiła, że Teresa, wielka dziedziczka Kasjana, pokonała acedię i zajęła się reformą Karmelu: zwróciła go ku jego pustynnym korzeniom. Także dla świeckich, bardziej podatnych na duchowe rozkojarzenie i osłabienie serca, płynie z tego wielka nauka.

Marta Kwaśnicka

[1] Ewagriusz z Pontu, *Traktat dla Eulogiusza mnicha*, przeł. M. Grzelak, [w:] Ewagriusz z Pontu, *Pisma ascetyczne*, t. II, red. L. Nieścior OMI, Tyniec 2005, s. 82.

[2] Tenże, *O ośmiu duchach zła*, przeł. L. Nieścior OMI, [w:] Ewagriusz z Pontu, *Pisma ascetyczne*, t. I, red. L. Nieścior OMI, Tyniec 2005, s. 426–428.

[3] Tenże, *O ośmiu duchach zła*, s. 428

[4] Dante Alighieri, *Piekło, Pieśń VII*, [w:] tegoż, *Boska komedia*, przeł. A. Świdorska, Kęty 2003.

[5] Poeci przeklęci (z francuskiego).

[6] Jan Kasjan, *Rozmowy z ojcami*, t. I, przeł. A. Nocoń, Tyniec 2002, s. 337.

[7] Święta Teresa, *Księga mojego życia*, przeł. D. Wandzioch, W. Ciak OSD, Poznań 2010, s. 100.

[8] Tamże, s. 102–103.